

ERNEST HEMINGWAY

**Komu
bije dzwon**

Przełożył Rafał Lisowski

MARGINESY

For Whom the Bell Tolls

COPYRIGHT © BY Hemingway Foreign Rights Trust /
Hemingway Copyright Owners 2020. All rights reserved.

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY
Rafał Lisowski

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY
Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2024

Ta książka jest dla
MARTHY GELLHORN

Żaden człowiek nie jest samoistną wyspą; każdy stanowi ułomek kontynentu, część lądu. Jeżeli morze zmyje choćby grudkę ziemi, Europa będzie pomniejszona, tak samo jak gdyby pochłonęło przylądek, włosć twoich przyjaciół czy twoją własną. Śmierć każdego człowieka umniejsza mnie, albowiem jestem zespolony z ludzkością. Przeto nigdy nie pytaj, komu bije dzwon: bije on tobie.

John Donne, przeł. Stanisław Barańczak

Rozdział 1

Leżał płasko na pokrytym igliwiem brązowym podłożu lasu, brodę trzymał na skrzyżowanych ramionach, a wysoko nad nim w czubkach sosen wiał wiatr. Tu, gdzie leżał, zbocze opadało łagodnie; niżej jednak było strome, widział więc ciemne pasmo utwardzonej szosy wijącej się przez przełęcz. Wzdłuż tej szosy biegł strumień, a w głębi przełęczy nad strumieniem widać było tartak i wodę spadającą z tamy, białą w blasku letniego słońca.

– Czy to ten tartak? – zapytał.

– Tak.

– Nie pamiętam go.

– Zbudowali go po tym, kiedyście tu byli. Stary młyn jest dalej, dużo pod przełęczą.

Rozłożył na leśnym podłożu fotokopię mapy wojskowej i spojrzął na nią uważnie. Starzec patrzył mu przez ramię. Był to starzec niski i mocny, ubrany w czarny chłopski kaftan i sztywne szare spodnie oraz w buty na sznurkowej podeszwie. Głośno dyszał po wspinaczce, a dłoń opierał na jednym z dwóch ciężkich plecaków, które nieśli.

– Czyli nie widać stąd mostu.

– Nie – odpowiedział stary. – Tu jest łagodny teren przełęczy, gdzie strumień płynie spokojnie. Niżej, za zakrętem, gdzie

droga znika między drzewami, jest nagły spadek i głęboki wąwóz...

– Pamiętam.

– Most jest nad tym wąwozem.

– A gdzie ich placówki?

– Jedna przy tym młynie, co go tam widzicie.

Młody człowiek, lustrujący krajobraz, wyjął lornetkę z kieszeni wyblakłej flanelowej koszuli khaki, chusteczką wytarł szklę i poruszał pokręteł, aż raptem ujrzał wyraźnie deski tartaku i drewnianą ławkę przy drzwiach, wielką stertę trocin za otwartą szopą, gdzie leżała piła tarczowa, oraz fragment kanału, którym ze zbocza na drugim brzegu strumienia spuszczano kłody. Strumień jawił się w lornetce przejrzysty i gładki, a poniżej łuku opadającej wody piana z tamy rozwiewała się na wietrze.

– Nie ma wartownika.

– Z tartaku idzie dym – powiedział stary. – A na sznurku wiszą ubrania.

– Widzę, ale wartownika nie ma.

– Może siedzi w cieniu – wyjaśnił stary. – Tam teraz gorąco. Mógł pójść w cień na drugi koniec, którego nie widać.

– Możliwe. Gdzie następna placówka?

– Pod mostem. W chatce robotnika drogowego na piątym kilometrze od szczytu przełęczy.

– Ilu ludzi jest tutaj? – Wskazał palcem tartak.

– Może czterech i kapral.

– A na dole?

– Więcej. Dowiem się.

– A na moście?

– Zawsze dwóch. Po jednym z każdej strony.

– Potrzebujemy trochę ludzi – powiedział młody człowiek. –

Ilu możecie zebrać?

– Mogę zebrać tyłu, ilu chcecie – odparł stary. – Tu na wzgórzach ludzi dużo.

– Ilu?

– Ponad stu. Ale małymi bandami. Ilu wam potrzeba?

– Powiem, kiedy przestudujemy most.

– Chcecie go przestudiować teraz?

– Nie. Teraz chcę iść tam, gdzie ukryjemy ten ładunek, dopóki nie przyjdzie pora. Jeżeli to możliwe, chcę ukryć go jak najbezpieczniej nie dalej niż pół godziny od mostu.

– To proste – odparł stary. – Z tego miejsca, dokąd idziemy, do mostu będzie stale z górki. Ale teraz trzeba się tam trochę wspiąć w powadze. Głodniście?

– Tak – powiedział młody człowiek. – Ale zjemy później. Jakżeście zwani? Zapomniałem.

Był to dla niego zły znak, że zapomniał.

– Anselmo – odrzekł stary. – Jestem zwany Anselmo i pochodzę z Barco de Avila. Pomogę wam z tym plecakiem.

Młody człowiek, wysoki i chudy, z jasnymi włosami rozświetlonymi słońcem oraz z twarzą smaganą słońcem i wiatrem, ubrany we flanelową koszulę wyblakłą na słońcu, chłopskie spodnie i buty na sznurkowej podeszwie, schylił się, przełożył rękę przez skórzany pasek ciężkiego plecaka i zarzucił go sobie na plecy. Drugą rękę przecisnął przez drugi pasek i ułożył ciężar na grzbiecie. Koszulę wciąż jeszcze miał mokrą od noszenia go wcześniej.

– Już podniosłem – powiedział. – Jak idziemy?

– Wspinamy się – odparł Anselmo.

Zgięci pod ciężarem plecaków, spoceni, pięli się w równym tempie przez sosnowy las, który porastał zбочe. Młody człowiek nie widział ścieżki, lecz posuwali się wzwyż i okrążali górę, a później przecięli strumyk i starzec, nie zwalniając,

ruszył dalej po skalistym brzegu koryta. Było teraz bardziej stromo i wspinaczka szła oporniej, aż w końcu strumień przelewał się jakby przez krawędź wznoszącej się nad nimi gładkiej granitowej skały. Stary zaczekał u jej stóp, aż tamten go dogoni.

– Jak wam idzie?

– W porządku – powiedział młody człowiek.

Pocił się obficie, a od marszu pod górę drgały mu mięśnie ud.

– Tu na mnie zaczekajcie. Idę ich ostrzec. Lepiej, żeby do was nie strzelali, kiedy niesiecie coś takiego.

– Nawet nie w żarcie – odparł młody człowiek. – Czy to daleko?

– To bardzo blisko. Jakżeś jest zwany?

– Roberto.

Młody człowiek zsunął plecak i postawił go łagodnie między dwoma głazami przy strumieniu.

– Tedy tu zaczekajcie, Roberto, a ja po was wrócę.

– Dobrze – powiedział młody człowiek. – Ale czy do mostu zamierzacie zejść tędy?

– Nie. Gdy pójdziemy do mostu, to będzie inną drogą. Krótszą i łatwiejszą.

– Nie chcę trzymać materiału zbyt daleko od mostu.

– Zobaczycie. Jeśli nie będziecie zadowoleni, to wybierzemy inne miejsce.

– Zobaczymy.

Młody człowiek usiadł obok plecaków i patrzył, jak tamten wdrapuje się na skałę. Staremu nie było trudno, a ponieważ znajdował dogodne chwytty, nawet ich nie szukając, młody człowiek poznał, że musiał się już tędy wspinać wielokrotnie. Ktokolwiek jednak czekał na górze, był tak ostrożny, że nie pozostawił żadnych śladów.

Młody człowiek, który nazywał się Robert Jordan, był straszliwie głodny i się martwił. Głodny bywał często, zwykle natomiast się nie martwił, bo nie przywiązywał wagi do tego, co z nim będzie, z doświadczenia zaś wiedział, jak w całym tym kraju łatwo jest się poruszać za linią wroga. Równie łatwo było się za nią poruszać, co ją przekraczać, jeśli się miało dobrego przewodnika. Jedyna trudność pojawiała się wówczas, gdy ktoś przywiązywał wagę do tego, co z nim będzie, gdy go złapią, no i kiedy musiał wybrać, komu ufać. Ludziom, z którymi się pracowało, ufać należało w pełni albo wcale, i w kwestii tego zaufania należało podejmować decyzje. Tym wszystkim zupełnie się nie martwił. Były jednak inne sprawy.

Ten Anselmo sprawdzał się jako przewodnik i cudownie umiał poruszać się po górach. Robert Jordan sam był niezłym piechurzem, lecz chodząc od świtu za starym, zdążył się przekonać, że ten zdołałby go wykończyć. Robert Jordan ufał temu Anselmowi jak dotąd we wszystkim oprócz zdolności oceny sytuacji. Tej dotychczas nie zdążył wypróbować, a zresztą za ocenę sytuacji odpowiadał on sam. Nie, nie martwił się Anselmem, a problem mostu nie był trudniejszy od wielu innych problemów. Robert Jordan potrafił wysadzić każdy most, jaki przyszedłby do głowy, i wysadzał ich wiele, różnej wielkości i budowy. W dwóch plecakach było dość materiałów wybuchowych oraz cały sprzęt potrzebny, żeby wysadzić ten most jak należy, nawet gdyby okazał się on dwukrotnie większy, niż mówił Anselmo, niż to zapamiętał, kiedy przemierzał go podczas pieszej wędrówki do La Granja w 1933 roku, i niż wynikało z opisu, który Golz odczytał przedwcześnie wieczorem w pokoju na piętrze w domu nieopodal Escorialu.

– Wysadzenie mostu to jest nic – powiedział Golz, wskazując ołówkiem dużą mapę. Blask lampy padał na jego poorly bliznami ogoloną głowę. – Rozumiecie?

– Tak, rozumiem.

– Absolutnie nic. Samo wysadzenie mostu to porażka.

– Tak jest, towarzyszu generale.

– Most trzeba wysadzić o określonej godzinie, uzależnionej od terminu natarcia. Oczywiście to pojmujecie. To wasze prawo i tak to trzeba zrobić.

Golz spojrział na ołówek i postukał nim o zęby.

Robert Jordan nic nie powiedział.

– Rozumiecie, że to wasze prawo i tak to trzeba zrobić – ciągnął Golz, patrzył na niego i kiwał głową. Ołówkiem postukał w mapę. – Tak ja bym to zrobił. I tak być nie może.

– Dlaczego, towarzyszu generale?

– Dlaczego? – powtórzył Golz ze złością. – Ile natarć widzieliście, że pytacie dlaczego? Kto zagwarantuje, że moje rozkazy nie ulegną zmianie? Kto zagwarantuje, że nie odwołają natarcia? Kto zagwarantuje, że wszystko zacznie się w ciągu sześciu godzin, odkąd zacząć się powinno? Czy chociaż jedno natarcie poszło kiedyś jak należy?

– Zacznie się w porę, jeżeli to będzie wasze natarcie – powiedział Robert Jordan.

– To nigdy nie są moje natarcia – odparł Golz. – Ja je przeprowadzam. Ale nie są moje. Artyleria nie jest moja. Muszę o nią wnioskować. Jeszcze nigdy nie dostałem tego, o co prosiłem, nawet jeśli to mieli. Zresztą to najmniejszy kłopot. Są inne sprawy. Wiecie, jacy są ci ludzie. Nie ma co wdawać się w szczegóły. Zawsze coś. Zawsze ktoś się wtrąci. Więc musicie teraz dobrze to zrozumieć.

– Czyli kiedy trzeba wysadzić most? – zapytał Robert Jordan.

– Godzinę po rozpoczęciu natarcia. Jak tylko natarcie się zacznie, ale nie wcześniej. Żeby tą drogą nie mogły dotrzeć posiłki. – Golz pokazał miejsce ołówkiem. – Muszę mieć pewność, że nic tą drogą nie dojdzie.

– A kiedy będzie natarcie?

– Powiem wam. Ale ta data i godzina mają wam tylko wskazać prawdopodobieństwo. Musicie być wtedy gotowi. Most wysadzicie po rozpoczęciu natarcia. Widzicie? – Wskazał ołówkiem. – To jedyna droga, którą mogą dotrzeć posiłki. To jedyna droga, którą tamci mogą doprowadzić czołgi, artylerię, a nawet ciężarówki do przełęczy, którą atakuję. Muszę wiedzieć, że mostu już nie ma. Nie wcześniej, bo go naprawią, jeśli odłożymy natarcie. Nie. Musi zostać wysadzony po rozpoczęciu natarcia i muszę wiedzieć, że go nie ma. Wartowników jest tylko dwóch. Człowiek, który z wami pójdzie, właśnie stamtąd przyszedł. Ponoć można na niego liczyć. Przekonacie się. Ma w górach ludzi. Weźcie tylu, ilu wam potrzeba. Jak najmniej, ale nie za mało. Nie muszę wam tłumaczyć takich rzeczy.

– A skąd będę wiedział, że zaczęło się natarcie?

– Weźmie w nim udział cała dywizja. Poprzedzi je bombardowanie lotnicze. Nie jesteście głusi, prawda?

– Zatem kiedy samoloty spuszczą bomby, mogą przyjąć, że natarcie się zaczęło?

– Nie zawsze można tak przyjąć. – Golz pokręcił głową. – Ale w tym przypadku owszem. To moje natarcie.

– Rozumiem – powiedział Robert Jordan. – Nie powiem, żeby zbyt mi się to podobało.

– Mnie też się zbyt nie podoba. Jeśli nie chcecie się tego podjąć, mówcie teraz. Jeśli myślicie, że nie dacie rady, mówcie teraz.

– Zrobię to – odparł Robert Jordan. – Oczywiście, że zrobię.

– Tylko tyle muszę wiedzieć – powiedział Golz. – Że tym mostem nic nie przejedzie. To konieczne.

– Rozumiem.

– Nie lubię prosić ludzi o robienie w taki sposób takich rzeczy – ciągnął Golz. – Nie mógłbym wydać wam takiego rozkazu. Rozumiem, do czego możecie być zmuszeni, skoro narzucam takie warunki. Wyjaśniam wszystko starannie, abyście zrozumieli i abyście zrozumieli wszelkie możliwe trudności oraz ważność sprawy.

– A jak po wysadzeniu mostu ruszycie na La Granja?

– Ruszymy gotowi, żeby go naprawić po ataku na przełęcz. To bardzo złożona i piękna operacja. Równie złożona i piękna jak zawsze. Plan opracowano w Madrycie. To kolejne arcydzieło Vicentego Rojo, tego nieszczęsnego profesora. Ja przeprowadzam natarcie i przeprowadzam je, jak zawsze, niedostatecznymi siłami. Mimo to operacja ma duże szanse powodzenia. Myślę o niej z większym optymizmem niż zazwyczaj. Może się powieść, jeśli wyeliminujemy ten most. Możemy zająć Segowię. Spójrzcie, pokażę wam, jak to będzie. Widzicie? Nie będziemy nacierać szczytem przełęczy. Ten teren musimy utrzymać. Tylko znacznie dalej. Patrzcie... Tutaj... O tak...

– Wolałbym nie wiedzieć – powiedział Robert Jordan.

– Słusznie – odparł Golz. – Zabierzecie na tamtą stronę lżejszy bagaż, tak?

– Zawsze wolę nie wiedzieć. Bo wtedy cokolwiek się stanie, ja nic nie wygadam.

– Lepiej, żebyście nie wiedzieli. – Golz pogładził się ołówkiem po czole. – Ja często też wolałbym nie wiedzieć. Ale czy wiecie na temat mostu tę jedną rzecz, którą wiedzieć musicie?

– Tak, wiem.

– Wierzę, że tak – powiedział Golz. – Nie wygłoszę wam teraz przemowy. Napijmy się. Po tym całym gadaniu bardzo chce mi się pić, towarzyszu Hordan. Zabawne macie nazwisko po hiszpańsku, towarzyszu Hordaun.

– A jak się wymawia Golz po hiszpańsku, towarzyszu generale?

– Hoce – odparł Golz z szerokim uśmiechem. Wydobył to słowo głęboko z gardła, jakby miał katar i odchrząkiwał flegmę. – Hoce – wychrypiął. – Towarzysz henerał Hoce. Gdybym wiedział, jak wymawiają po hiszpańsku Golz, przed przyjazdem na tę wojnę wybrałbym inne nazwisko. Pomyśleć, że gdy tu przyjeżdżałem, żeby kierować dywizją, mogłem wybrać każde nazwisko, jakie chciałem, a wybrałem Hoce. Henerał Hoce. Teraz już za późno je zmieniać. Jak wam się podoba robota jako partizan? – Użył rosyjskiego określenia na działających za linią wroga.

– Bardzo – powiedział Robert Jordan. Uśmiechnął się szeroko. – Bardzo zdrowa, dużo świeżego powietrza.

– Mnie też się bardzo podobała, kiedy byłem w waszym wieku – rzekł Golz. – Mówią mi, że bardzo dobrze wysadzaście mosty. Bardzo naukowo. Takie krążą słuchy. Ja sam nigdy nie widziałem tego, co robicie. Może wcale nic się nie dzieje. Naprawdę je wysadzacie? – Teraz się droczył. – Napijcie się tego. – Podał Robertowi Jordanowi kieliszek hiszpańskiej brandy. – Naprawdę je wysadzacie?

– Czasami.

– Lepiej, żeby na tym moście nie było „czasami”. Nie, nie mówmy już więcej o moście. Na temat mostu zrozumieliście już dosyć. Jesteśmy bardzo poważni, więc możemy mocno żartować. Słuchajcie, dużo macie dziewczyn po tamtej stronie frontu?

– Nie. Nie ma czasu na dziewczyny.

– Nie zgadzam się. Im służba bardziej nieregularna, tym bardziej nieregularne życie. Wasza służba jest bardzo nieregularna. Poza tym powinniście się ostrzyć.

– Włosy strzygę, kiedy to konieczne – odparł Robert Jordan. Niedoczekanie, żeby golił głowę tak jak Golz. – I bez dziewczyn mam o czym myśleć – powiedział ponuro. – Jaki mundur powinienem nosić?

– Żaden – odrzekł Golz. – Fryzurę macie w sam raz. Tylko się z wami droczę. Bardzo się ode mnie różnicie. – Ponownie napełnił kieliszki. – Wy nigdy nie myślicie tylko o dziewczynach. Ja nigdy nie myślę w ogóle. Niby po co? Ja jestem *Général Sovietique*. Ja nigdy nie myślę. Nie próbujcie zrobić mnie w myślenie.

Ktoś ze sztabu, siedzący na krześle przy rysownicy i pracujący nad mapą, warknął coś do Golza w języku, którego Robert Jordan nie rozumiał.

– Zamknij się – powiedział Golz po angielsku. – Jak chcę, to żartuję. Taki jestem poważny i dlatego mogę żartować. A teraz pójcie i idźcie. Rozumiecie, co?

– Tak – odparł Robert Jordan. – Rozumiem.

Ucisnęli sobie dłonie, po czym Robert Jordan zasalutował i wyszedł do wozu sztabowego, w którym spał tamten starzec, który na niego czekał. Wozem wyjechali na szosę, minęli Guadarramę, starzec nadal się nie obudził, a potem drogą do Navacerrady dotarli do domku Klubu Alpejskiego, gdzie on, Robert Jordan, zdrzemnął się na trzy godziny przed wyruszeniem dalej.

To wtedy po raz ostatni widział Golza z tą jego dziwną białą twarzą, której nie miała się opalenizna, z jastrzębimi oczami, dużym nosem, wąskimi wargami i ogoloną głową po-

przecinaną przez zmarszczki i blizny. Nazajutrz w nocy tamci wyjdą po ciemku na szosę pod Escorial do długich sznurów ciężarówek, piechota będzie się do nich ładowała w mroku, żołnierze, ciężko objuczeni, będą się na nie wdrapywali, pluton karabinów maszynowych będzie pakował do nich swoją broń, czołgi będą wjeżdżały po pochylniach na długie transportery, dywizja wyruszy pod osłoną nocy, żeby przypuścić natarcie na przelęcz. O tym myśleć nie zamierzał. To nie jego sprawa. To sprawa Golza. On miał do zrobienia jedno i o tym zamierzał myśleć, musiał to dokładnie przemyśleć i przyjmować, co się wydarzy, i się nie martwić. Martwić się to prawie równie źle jak się bać. Wtedy po prostu jest trudniej.

Teraz siedział nad strumieniem i patrzył, jak przejrzysta woda przepływa między kamieniami. Po drugiej stronie spostrzegł gęsto rosnącą rukiew wodną. Przeszedł przez strumień, zerwał dwie gałęzie, opłukał zabłocone buty w wartkim nurcie, a potem usiadł obok swojego plecaka i zaczął jeść czyste, chłodne liście i kruche łydźki o pieprzonym smaku. Uklęknął przy brzegu, pistolet automatyczny na pasku przerzucił na plecy, żeby go nie zamoczyć, nachylił się, podparłszy się na obu głazach, i napił się ze strumienia. Woda była boleśnie zimna.

Dźwignął się na rękach, obrócił głowę i zobaczył starego schodzącego ze skały. Towarzyszył mu drugi mężczyzna, także w czarnym chłopskim kaftanie i ciemnoszarych spodniach, które w tej prowincji były niemal jak mundur, w butach na sznurkowej podeszwie i z karabinkiem zarzuconym na plecy. Nie miał nakrycia głowy. Obaj zeszli ze skały jak kozice.

Zbliżyli się, a Robert Jordan wstał.

– *Salud, camarada* – powiedział do tego z karabinkiem i się uśmiechnął.

– *Salud* – odparł niechętnie tamten.

Robert Jordan przyjrzał się jego masywnej twarzy porośniętej zarostem. Była niemal okrągła, a głowa też była taka i mocno osadzona na ramionach. Oczy miał małe i rozstawione zbyt szeroko, uszy zaś małe i przylegające do głowy. Był mężczyzną tęgim, mierzył około stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu, a dłonie i stopy miał duże. Jego nos kiedyś był złamany, usta były nacięte w kąciaku, a spod brody wyzierała blizna biegnąca po górnej wardze i dolnej szczęce.

Stary skinął do niego głową i się uśmiechnął.

– On tu jest szefem. – Rozpromienił się, po czym napiął ramiona, jakby chciał naprężyć mięśnie, i z na wpół drwiącym podziwem spojrzął na tego z karabinkiem. – Bardzo silny człowiek.

– Widzę – odparł Robert Jordan i znowu się uśmiechnął.

Ten człowiek mu się nie podobał i w duchu bynajmniej się nie uśmiechał.

– Co macie na wyjustowanie swojej tożsamości? – zapytał ten z karabinkiem.

Robert Jordan odpiął agrafkę od flanelowej koszuli, przytrzymującą klapkę lewej kieszeni, i wyjął złożoną kartkę, a potem wręczył tamtemu, który ją rozłożył, spojrzął z powątpiewaniem i obrócił w dłoniach.

A więc nie umie czytać, odnotował Robert Jordan.

– Obejrzyjcie pieczęć – powiedział.

Stary wskazał pieczęć palcem, a ten z karabinkiem przyjrzał się uważnie, obracając ją w palcach.

– Co to za pieczęć?

– Nie widzieliście jej wcześniej?

– Nie.

– Są dwie – powiedział Robert Jordan. – Jedna SIM, służby wywiadu wojskowego. A druga sztabu generalnego.

– Tak, tę wcześniej widziałem. Ale tutaj komenderuję tylko ja – rzekł tamten ponuro. – Co macie w plecakach?

– Dynamit – oznajmił z dumą stary. – Nocą przeszliśmy linię frontu i cały dzień nieśliśmy ten dynamit przez górę.

– Dynamit mi się przyda – powiedział mężczyzna z karabinkiem. Oddał papier Robertowi Jordanowi i zmierzył go wzrokiem. – Tak. Mam dla niego zastosowanie. Ileście mi przynieśli dynamitu?

– Nie przyniosłem wam dynamitu – odparł spokojnie Robert Jordan. – Ten dynamit ma inne przeznaczenie. Jak się nazywacie?

– Co was to obchodzi?

– To Pablo – powiedział stary.

Mężczyzna z karabinkiem spojrział na obu ponuro.

– Dobrze. Słyszałem o was wiele dobrego – powiedział Robert Jordan.

– Coście o mnie słyszeli? – zapytał Pablo.

– Słyszałem, że doskonały z was przywódca partyzancki, żeście wierni Republice i dowodzicie swej wierności czynami, i żeście człowiek zarazem poważny i dzielny. Przynoszę pozdrowienia ze sztabu generalnego.

– Gdzieście to wszystko słyszeli? – zapytał Pablo.

Robert Jordan spostrzegł, że pochlebstwa do niego trafiają.

– Od Buitrago po Escorial. – W odpowiedzi wymienił całą połąć terenów po drugiej stronie frontu.

– Nie znam nikogo w Buitrago ani w Escorialu – odparł Pablo.

– Po tamtej stronie gór jest wielu ludzi, których nie było tam wcześniej. Skąd jesteście?

– Z Avili. Co zrobicie z tym dynamitem?

– Wyszadzę most.

– Jaki most?

– To moja sprawa.

– Skoro na moim terytorium, to moja. Nie wysadza się mostów tam, gdzie się mieszka. Mieszkać trza w jednym miejscu, a działać w innym. Znam się na swojej robocie. Ktoś, kto po roku wciąż żyje, zna się na robocie.

– To moja robota – powiedział Robert Jordan. – Możemy omówić ją razem. Czy chcecie nam pomóc z plecakami?

– Nie – odparł Pablo i pokręcił głową.

Nagle stary odwrócił się do niego i zaczął mówić coś szybko i wściekle w narzeczu, za którym Robert Jordan ledwie nadążał. Zupełnie jakby czytał Queveda. Anselmo mówił w starokastylijskim dialekcie i brzmiało to mniej więcej tak: „Jesteśli bydlęciami? Tak. Jesteśli bestią? Tak, po wielokroć. Maszli mózg? Nie. Za grosz. My przychodzimy w sprawie kardynalnej ważności, a ty, co domostwa swego pragniesz nie turbować, własną lisią norę przedkładasz nad interes ludzkości. Nad interes ludu twego. Ja to i tamto w to i tamto ojca twego. Ja to, tamto i tamto w twoje to. Bierżże ten plecak!”

Pablo spuścił wzrok.

– Każdy robi, co może, wedle tego, co prawdziwie zrobić można – powiedział. – Ja mieszkam tu, a działam za Segowią. Jeśli narobicie tutaj zamieszania, wypędzą nas z tych gór. Tylko nic nie robiąc, możemy mieszkać w tych górach. Oto zasada lisa.

– Tak – odparł gorzko Anselmo. – Oto zasada lisa, gdy nam potrzeba wilka.

– Więcej we mnie wilka niżli w tobie – powiedział Pablo, a Robert Jordan już wiedział, że weźmie ten plecak.

– Hejże ho... – Anselmo spojrział na tamtego. – Tyś bardziej wilk niżli ja, a mam sześćdziesiąt osiem lat.

Splunął na ziemię i pokręcił głową.

– Tyle lat liczycie? – spytał Robert Jordan, widząc, że chwilowo wszystko będzie dobrze, i chcąc uspokoić sprawę.

– Sześćdziesiąt osiem w miesiącu lipcu.

– Jeśli tego miesiąca doczekamy – powiedział Pablo. – Pomogę wam z tym plecakiem – zwrócił się do Roberta Jordana. – Drugi zostawcie staremu. – Nie mówił już ponuro, lecz niemal ze smutkiem. – To starzec wielkiej siły.

– Sam poniosę plecak – odparł Robert Jordan.

– Nie – powiedział stary. – Zostawcie drugiemu siłaczowi.

– Ja go wezmę – oznajmił Pablo, a w jego ponurości był smutek, który napawał Roberta Jordana niepokojem. Znał ten smutek i martwił się, że tutaj go widzi.

– Dajcie mi więc karabinek – powiedział, a kiedy Pablo mu go wręczył, Robert Jordan zarzucił go sobie na plecy, tamci ruszyli przodem i wszyscy trzej szli ciężko, wspięli się na granitową skałę i wdrapali na jej górną krawędź, gdzie była zielona leśna polana.

Podążali brzegiem łączki, a Robert Jordan, maszerujący już swobodnie bez plecaka, z karabinkiem przyjemnie przerzuconym przez ramię w miejsce wielkiego ciężaru, od którego się pocił, spostrzegł, że w kilku miejscach trawa jest przystrzyżona, a tu i ówdzie zauważył ślady po kołkach do uwiązania koni. Wśród traw biegła ścieżka, którą konie prowadzono nad strumień do wodopoju, widział też świeże łajno. Nocą przywiązują je tutaj, żeby się pasły, a za dnia ukrywają w lesie, pomyślał. Ciekawe, ile ten Pablo ma koni.

Przypomniało mu się, że choć wówczas nie zwrócił na to uwagi, to już wcześniej widział, że spodnie Pabla są tak wytarte na udach i kolanach, aż błyszczą. Ciekawe, czy ma jakieś buty jeździeckie, czy wsiada na koń w tych *alpargatas*, pomyślał.

Musi mieć nie lada oddział. Ale ten smutek mi się nie podoba. Ten smutek jest niedobry. To taki smutek przed rezygnacją albo zdradą. To taki smutek, który przychodzi, zanim ktoś się sprzeda.

Przed nimi w lesie zarżał koń, a potem między brązowymi sosnami, których gęste, niemal stykające się korony przepuszczały tylko odrobinę światła, Robert Jordan zobaczył zagrodę ze sznurów obwiązanych wokół pni. Konie kierowały łby w stronę nadchodzących mężczyzn, a u podnóża jednego z drzew, poza obrębem zagrody, leżał stos siodła przykryty brezentem.

Gdy podeszli bliżej, obaj mężczyźni z plecakami przystanęli, a Robert Jordan zrozumiał, że to po to, by mógł podziwiać konie.

– Tak – powiedział. – Są piękne. – Odwrócił się do Pabla. – Macie własną kawalerię i wszystko.

W sznurowej zagrodzie koni było pięć: trzy gniade, jeden kasztanowy i jeden jeleni. Ujrawszy je po raz pierwszy wszystkie razem, Robert Jordan przyjrzał się każdemu z osobna. Pablo i Anselmo wiedzieli, że to dobre konie, Pablo stał więc teraz dumny i nieco mniej smutny, przypatrując im się z czułością, a starzec udawał, że są jakąś wielką niespodzianką, którą nieoczekiwanie przyszykował sam.

– Jak się wam widzą? – zapytał.

– Ja je wszystkie wziąłem – oznajmił Pablo, a Roberta Jordana ucieszyło, że mówi to z taką dumą.

– Tamten – Robert Jordan wskazał jednego z gniadoszy, wielkiego ogiera z białą latarnią na czole i jedną białą nogą, przednią lewą – to jest dużo konia.

Był to piękny koń, wyglądał, jakby wyszedł z obrazu Velasqueza.

– Wszystkie są dobre – odrzekł Pablo. – Znacie się na koniach?

– Tak.

– Mniej źle. Widzicie u którego defekt?

Robert Jordan zorientował się, że ten niepiśmienny człowiek właśnie sprawdza jego papiery.

Konie wciąż miały podniesione łby i patrzyły na mężczyznę. Robert Jordan prześlizgnął się między sznurami ogrodzenia, a potem jeleniego poklepał po zadzie. Oparł się o sznury i patrzył, jak konie krążą po zagrodzie, przyglądał im się jeszcze przez minutę, gdy się zatrzymały, po czym zgiął się i wyszedł między linami.

– Kasztanka kuleje na tylną prawą nogę – odezwał się do Pabla, nie patrząc na niego. – Ma pęknięte kopyto i chociaż pewnie prędko jej się nie pogorszy, jeżeli dobrze ją podkuć, to dłuższej jazdy po twardym gruncie mogłaby nie wytrzymać.

– Kopyto już takie było, kiedyśmy ją wzięli – powiedział Pablo.

– Wasz najlepszy koń, ten gniady ogier z białą latarnią, ma opuchliznę u góry nadpęcia, która mi się nie podoba.

– To nic takiego – odparł Pablo. – Stłukł sobie trzy dni temu. Gdyby to miało coś być, już by było.

Ściągnął brezent, żeby pokazać siodła. Były tam dwa typowe siodła *vaquero*, czyli pasterskie, jak do wypasania bydła w Ameryce, jedno bardzo zdobne siodło *vaquero* z ręcznie tłoczoną skórą oraz dwa wojskowe z czarnej skóry.

– Zabiliśmy dwóch z *guardia civil* – powiedział Pablo, by wytłumaczyć te wojskowe.

– Gruba zwierzyna.

– Zsiedli z koni na drodze między Segowią a Santa Maria del Real. Zsiedli, żeby zażądać papierów od woźnicy, który

powoził wózkami. Zdołaliśmy ich zabić, koniom nie robiąc krzywdy.

- Dużo zabiliście gwardzistów? - zapytał Robert Jordan.

- Paru - odparł Pablo. - Ale nie robiąc krzywdy koniom, tylko tych dwóch.

- To Pablo wysadził pociąg pod Arévalo - oznajmił Anselmo. - To był Pablo.

- Był z nami cudzoziemiec, który zrobił wybuch - rzekł Pablo. - Znacie go?

- Jak jest zwany?

- Nie pamiętam. Miał bardzo osobne nazwisko.

- Jak wyglądał?

- Blondyn, jak wy, ale nie tak wysoki, miał duże dłonie i złamany nos.

- Kaszkin - powiedział Robert Jordan. - To musiał być Kaszkin.

- Tak - odrzekł Pablo. - Bardzo osobne nazwisko. Jakies takie. Co z nim?

- Nie żyje od kwietnia.

- Każdego to spotyka - stwierdził Pablo ponuro. - Wszyscy tak skończymy.

- Tak kończą wszyscy ludzie - powiedział Anselmo. - Tak zawsze kończyli. Co z wami, człowieku? Co masz w żołądku?

- Oni są bardzo silni - powiedział Pablo. Zupełnie jakby mówił sam do siebie. Patrzył ponuro na konie. - Nie pojmujecie, jacy silni. Ciągłe ich widzę silniejszych, ciągle lepiej uzbrojonych. Ciągłe z nowymi zapasami. A ja jestem tutaj z takimi końmi. Czego mogę oczekiwać? Że będą na mnie polowali i umrę. Niczego więcej.

- Sami nie mniej polujecie, niż polują na was - stwierdził Anselmo.

– Nie – odparł Pablo. – Już nie. A jeśli teraz wyjdziemy z tych gór, to dokąd pójdziemy? Tyle mi powiedzcie. Dokąd?

– W Hiszpanii dużo gór. Jeśli stąd się wyjdzie, są Sierra de Gredos.

– Nie dla mnie – powiedział Pablo. – Zmęczyłem się tym, że na mnie polują. Tu nam dobrze. A jeśli wysadzicie tutaj most, zapolują na nas. Jeśli się dowiedzą, gdzie jesteśmy, i zapolują z samolotami, to nas znajdą. Jeśli przyślą Maurów, żeby nas wykurzyć, to nas znajdą i pójdziemy. Jestem tym wszystkim zmęczony. Słyszycie? – Odwrócił się do Roberta Jordana. – Jakim prawem wy, cudzoziemiec, przychodzicie do mnie i mówicie, co mam robić?

– Nie powiedziałem, co macie robić – odparł Robert Jordan.

– Ale powiecie – stwierdził Pablo. – Właśnie tu. Oto jest to złe.

Wskazał palcem dwa ciężkie plecaki, które postawili na ziemi, żeby się przyjrzeć koniom. Widok koni jakby wszystko to w nim rozbudził i Robert Jordan pojął, że konie rozwiązały mu język. Wszyscy trzej stali teraz przy sznurowej zagrodzie, a plamy słońca padały na sierść gniadosza. Pablo spojrział na niego, a potem trącił ciężki plecak stopą.

– Tu jest to złe.

– Sprowadza mnie tutaj obowiązek – powiedział mu Robert Jordan. – Sprowadza mnie rozkaz tych, którzy toczą wojnę. Jeśli poproszę was o pomoc, możecie odmówić, a ja znajdę innych, co pomogą. Na razie jeszcze nawet was nie poprosiłem. Muszę zrobić, co mi kazano, i mogę was zapewnić o ważności sprawy. A że jestem cudzoziemcem, to nie moja wina. Wolałbym urodzić się tutaj.

– Dla mnie teraz najważniejsze, żeby nikt nam tu nie przeszkadzał – odrzekł Pablo. – Ja teraz mam obowiązek wobec tych, co ze mną, i samego siebie.

– Siebie samego, tak – powiedział Anselmo. – Siebie samego, już od dawna. Siebie samego i koni swoich. Dopókiś koni nie miał, byłżeś z nami. Teraz ty jesteś raczej następnym kapitalista.

– To niesprawiedliwe – odparł Pablo. – Konie stale narażam dla sprawy.

– Bardzo mało – stwierdził z pogardą Anselmo. – Bardzo mało na mój osąd. Aby kraść, owszem. Aby dobrze zjeść, owszem. Aby mordować, owszem. Aby walczyć, nie.

– Jesteście starzec, co kłopotu sobie narobi ustami.

– Jestem starzec, co się nikogo nie boi – odpowiedział Anselmo. – Poza tym jestem starzec bez koni.

– Jesteście starzec, co może długo nie pożyje.

– Jestem starzec, co pożyje aż do śmierci. I nie boję się lisów.

Pablo nic nie powiedział, tylko dźwignął plecak.

– Wilków także nie – dodał Anselmo, podnosząc ten drugi. – Jeśliś jest wilkiem.

– Zamilczże – powiedział mu Pablo. – Jesteś starzec, co ciągle za dużo gada.

– I co zrobi wszystko, co obiecał – odparł Anselmo, zgięty pod ciężarem. – I co jest teraz głodny. I spragniony. No dalej, przywódco partyzancki o smutnej twarzy. Prowadź nas do jedzenia.

Żle się zaczyna, pomyślał Robert Jordan. Ale Anselmo jest mężczyzną. Kiedy oni są dobrzy, są cudowni, pomyślał. Kiedy są dobrzy, nie ma drugich takich jak oni, a kiedy są źli, to nie ma gorszych. Anselmo na pewno wiedział, co robi, gdy nas tu sprowadził. Ale nie podoba mi się to. W ogóle mi się nie podoba.

Jedyny dobry znak był taki, że Pablo niósł plecak, a karabinek oddał Jordanowi. Może on zawsze taki jest, pomyślał Robert Jordan. Może jest z tych ponurych.

Nie, powiedział do siebie, nie oszukuj się. Nie wiesz, jaki był wcześniej, ale wiesz, że szybko mu się pogarsza i nawet tego nie ukrywa. Jeżeli zacznie ukrywać, to będzie znaczyło, że podjął decyzję. Zapamiętaj, powiedział sobie. Gdy tylko po raz pierwszy zachowa się przyjaźnie, będzie to znaczyło, że podjął decyzję. Ale to są diabelnie dobre konie, pomyślał, piękne konie. Sam nie wiem, co mogłoby we mnie wzbudzić takie uczucia, jakie konie wzbudzają w Pablo. Stary miał rację. Konie dały mu bogactwo, a jak tylko stał się bogaty, chciał się cieszyć życiem. Pewnie niedługo będzie żałował, że nie może się zapisać do Jockey Clubu, pomyślał Robert Jordan. *Pauvre Pablo. Il a manqué son Jockey.*

Z tą myślą od razu lepiej się poczuł. Uśmiechnął się, spoglądając przed siebie na dwa zgięte grzbiety i ciężkie plecaki przesuwające się wśród drzew. Przez cały dzień ani razu nie żartował w duchu, a teraz, gdy zażartował, poczuł się znacznie lepiej. Robisz się taki sam jak oni, powiedział do siebie. Też robisz się ponury. Przy Golzu zdecydowanie był poważny i ponury. Zadanie trochę go przytłoczyło. Nieco przytłoczyło, pomyślał. Bardzo przytłoczyło. Golz był wesół i chciał, aby on także był wesół przed wyruszeniem w drogę, ale on nie był.

Jeśli się dobrze zastanowić, każdy z najlepszych jest wesół. Dużo lepiej być wesółym i to też pewna oznaka. To jak bycie nieśmiertelnym jeszcze za życia. Skomplikowany był ten człowiek. Niewielu już takich zostało. Nie, niewielu zostało wesółych. Diabelnie niewielu. A jeśli dalej będziesz tak myślał, mój chłopcze, to zabraknie i ciebie. Wyłącz natychmiast to myślenie, stary chłopie, stary towarzyszu. Teraz jesteś od wysadzania mostów. Nie od myślenia. Niech mnie, ale zgłodniałem, pomyślał. Mam nadzieję, że Pablo dobrze jada.